

ROBYN SCHNEIDER

POCZATEK
Wszystkiego

MASZ JEDNO ŻYCIE,
DZIKIE I CENNE

moondrive

ROBYN SCHNEIDER

POCZĄTEK
Wszystkiego

tłumaczenie Aga Zano

moondrive

Kraków 2017

1

Czasem myślę sobie, że na każdego czai się jego własna tragedia. Że ktoś, kto właśnie kupuje mleko w piżamie albo dłubie w nosie na światłach, może być sekundę od katastrofy. Że każde życie, nieważne jak zwyczajne, ma tę jedną chwilę, kiedy staje się wyjątkowe – chwilę, po której wydarzy się wszystko, co naprawdę ma znaczenie.

Mojego przyjaciela Toby'ego tragedia dopadła na tydzień przed rozpoczęciem szóstej klasy w podstawówce Westlake. Tamtego lata mieliśmy świra na punkcie ping-ponga, bez przerwy graliśmy na bosaka u Toby'ego na podwórku i wyobrażaliśmy sobie, że wystartujemy w jakichś mistrzostwach świata. Ja byłem lepszy, bo rodzice siłą wysłali mnie na prywatne lekcje tenisa kiedy tylko nauczyłem się trzymać widelec. Ale cza-sami pozwalałem Toby'emu wygrać, bo był moim kolegą. Dla mnie to była cała nowa gra: jak przegrać dość przekonująco, żeby się nie zorientował, że zrobiłem to specjalnie. Więc kiedy on trenował do pucharu świata w ping-pongu, ja w sekrecie buntowałem się przeciw mojemu ojcu, który wierzył, że w ży-ciu liczy się wyłącznie wygrywanie. To był taki mały akt przy-jacielskiej anarchii.

Toby i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – takimi, którym niespecjalnie zależało na towarzystwie innych rówieśników. Ale jego mama uparła się, że zafunduje mu przyjęcie urodzinowe. Może po to, żeby zapewnić synowi popularność w szkole – przywilej, którym żaden z nas się dotąd nie cieszył.

Rozesłała zaproszenia z motywem z *Piratów z Karaibów* do sześciu dzieciaków z naszego roku – wszystkich nas łączył kompletny brak zainteresowania wspólną zabawą – i zabrała całą paczkę do Disneylandu najbrudniejszym bordowym minivanem świata. Był ostatni wtorek wakacji.

Mieszkaliśmy zaledwie dwadzieścia minut samochodem od Disneylandu, więc do szóstej klasy urok magicznego królestwa zdążył już zblednąć. Doskonale wiedzieliśmy, na czym warto się przejechać, a co było stratą czasu. Kiedy pani Ellicott proponowała wejście do Zaczarowanego Pokoju Tiki, zareagowaliśmy taką lawiną szyderstw, jakby oczekiwała, że będziemy jeść sałatę na patyku zamiast waty cukrowej. Ostatecznie postanowiliśmy zacząć od Góry Wielkich Grzmotów – i na tym, jak się wkrótce okazało, skończyliśmy.

Toby i ja usiedliśmy na samym końcu, bo każdy wie, że ostatni wagonik jedzie najprędzej. Reszta naszej wycieczki rzuciła się na przód. Mimo że z tyłu jest najlepiej, z jakiegoś niepojętego powodu front jest zawsze najpopularniejszy. Tak więc od reszty urodzinowej grupy oddzielił nas ocean innych gości Disneylandu.

Może pamiętam wszystko tak wyraźnie przez to, co się potem wydarzyło. Kojarzycie te znaki przy wejściu na każdą atrakcję: takie z czarną linią wskazującą, że trzeba mieć co najmniej tyle wzrostu, żeby wejść? Zawsze jest tam też masa kretyńskich ostrzeżeń: że kobiety w ciąży i osoby z wadą serca nie powinny jeździć kolejkami górskimi, że trzeba zdjąć plecak i że nie wolnowstawać podczas jazdy.

Okazało się, że te ostrzeżenia wcale nie są takie bez sensu. Zaraz przed nami siedziała rodzina Japończyków. Wszyscy mieli na głowach czapki z uszami Myszki Miki ze swoimi imio-

nami wyszytymi z tyłu. Toby i ja usiedliśmy na swoich miejscach. Ruszyliśmy. Wiatr niemal rozpląszczał nam twarze, a kolejka tak huczała na rozdygotanych torach, że prawie nie słyszeliśmy własnego krzyku. Wtem jeden z chłopców przed nami buntowniczo podniósł się z siedzenia. Śmia się i przytrzymywał dłonią uszatą czapkę, kiedy nagle wjechaliśmy do niskiego tunelu.

W wiadomościach powiedzieli, że czternastolatkowi z Japonii urwało głowę podczas jazdy na Górze Wielkich Grzmotów, bo zignorował nakazy bezpieczeństwa. Ale nie dodali, że głowa dzieciaka, wciąż w czapce Myszki Miki, poszybowała do tyłu, wirując jak makabryczny helikopter, a Toby Ellicott, – w dzień swoich dwunastych urodzin, – złapał ją i zszokowany trzymał mocno na kolanach przez resztę przejażdżki.

Po czymś takim nie da się stanąć z powrotem na nogi z godnością. Nie było żadnej magicznej odpowiedzi na niezliczone żarty rzucane w stronę Toby'ego na korytarzach Westlake Middle School, na kpiące rady, żeby nie tracił głowy. Tragedią Toby'ego było, że wybrał akurat to miejsce na rollercoasterze w dniu swoich dwunastych urodzin. Od tamtej pory mój przyjaciel musiał żyć w cieniu tego wydarzenia.

To równie dobrze mógłbym być ja. Gdybyśmy usiedli odwrotnie, albo gdyby chłopcy przed nami w ostatniej chwili zamienili się miejscami, to byłaby moja tragedia, nie Toby'ego. Czasami o tym myślałem, gdy przez lata oddalaliśmy się od siebie. Toby złał się z tłem, a ja cieszyłem się niewyjaśnioną popularnością. W gimnazjum i liceum moje kolejne dziewczyny śmiały się i zaciekawione marszczyły nosy.

– A ty się czasem nie kumpłowałeś z tym koleśkiem? – pytały. o Tym, co złapał urwaną głowę w Disneylandzie?

– Dalej się przyjaźnimy – odpowiadałem, ale to nie była prawda. Wciąż się lubiliśmy na tyle, żeby czasem rozmawiać przez internet, ale tamtego lata naszej przyjaźni też urwało głowę. Mnie, podobnie jak pechowemu dzieciakowi przed nami, żaden ciężar nie spoczywał na barkach.

Sorry. Nie powinienem tak żartować, wiem. Ale minęło już tyle czasu, że to wydaje mi się koszmarną opowieścią, a nie czymś, co widziałem na własne oczy. Ale ponieważ ta tragedia należała do Toby’ego, to on musiał sobie z nią poradzić, a ja wyszedłem z tej sytuacji względnie nietknięty.

Moja własna tragedia czekała na odpowiedni moment. Chciała uderzyć, kiedy już przyzwyczaję się do całkiem niezłego życia na zwyczajnych przedmieściach i przestanę oczekiwać, że przytrafi mi się coś ciekawego. Dlatego kiedy moja osobista tragedia wreszcie mnie znalazła, było już prawie za późno. Właśnie skończyłem siedemnaście lat i cieszyłem się taką popularnością, że prawie było mi głupio. Dobrze się uczyłem i groziło mi pozostanie absolutnie niezwykle gościem na całą wieczność.

Jonasa Beideckera ledwo kojarzyłem – jak kogoś, kto siedzi ławkę obok, albo jak wielkiego vana na lewym pasie, gdy prowadzisz. Miałem go na radarze, ale ledwo co. To on zorganizował imprezę w swoim domu nad North Lake z altaną w ogrodzie, pełną sześciopaków piwa i lemoniady z wódką. Na podwórku wisiały splątane girlandy lampek choinkowych, choć był weekend przed połowinkami. Światelka migotały w mętnej wodzie jeziora. Na ulicy roiło się od samochodów, więc musiałem zaparkować aż w Windhawk, dwie przecznice dalej, bo miałem paranoję, że ktoś mi porysuje lakier.

Całe popołudnie kłóciłem się z moją dziewczyną Charlotte na kortach po treningu tenisa. Oskarżyła mnie – zobaczymy, czy

uda mi się to dokładnie powtórzyć – o „unikanie obowiązków przewodniczącego w związku z organizacją Luau”. Powiedziała to tak sztywno, jakby oczekiwała, że będę się wstydzić. Jakby jej przewidywania, że doroczną hawajską imprezę dla starszych klas trafi szlag, miały sprawić, że zerwę się na równe nogi i natychmiast zwołam nadzwyczajne posiedzenie samo-rządu.

Pot łał się ze mnie strumieniami. Właśnie kończyłem butelkę gatorade, kiedy ona weszła na kort w sukience bez ramiączek, którą cały dzień skrywała pod sweterkiem. Kiedy mówiła, ja byłem zajęty myśleniem, jak seksownie wyglądają jej nagie ramiona. W końcu powiedziała, że czasami jestem beznadziejny i że idzie na imprezę Jonasa ze swoją przyjaciółką Jill, bo nie da się ze mną rozmawiać, kiedy tak niemożliwie się zachowuję. Chyba na to zasłużyłem.

– Jak ktoś jest niemożliwy, to chyba oczywiście, że się nie da – odparłem, wycierając gatorade z brody.

Zła odpowiedź. Wydała z siebie wściekły dźwięk, taki trochę pisk, a trochę warknięcie, i odeszła zamaszystym krokiem. Dlatego spóźniłem się na imprezę i nawet się nie przebrałem. Wciąż miałem na sobie tenisowe spodenki, bo wiedziałem, że to ją jeszcze bardziej rozdrażni.

Schowałem smycz z kluczami do kieszeni i skinąłem na powitanie całej masie różnych ludzi. Byłem przewodniczącym drugich klas i kapitanem drużyny tenisowej, więc zawsze musiałem kiwać głową i uśmiechać się do ludzi gdzie bym nie poszedł. Jakby życie było sceną, a ja tylko skromnym tenisistą.

Sorry, znowu się wygłupiam. Już tak mam. Ludzie się rozluźniają, jak mogą wspólnie przewrócić oczami, gdy ktoś ważny robi coś durnego.

Złapałem plastikowy czerwony kubek, choć nie zamierzałem pić alkoholu, i przyłączyłem się do grupki chłopaków z tenisa, stojących na podwórku. Ci sami co zwykle, już nieźle wstawieni. Przywitali się ze mną stanowczo zbyt entuzjastycznie. Cierpliwie zniosłem radosne walenie po plecach z przyjaznym grymasem na twarzy, po czym usiadłem na podsuniętym mi leżaku.

– Faulkner, musisz to zobaczyć! – zawołał Evan. Stał na donicy, zataczając się pijacko. W dłoniach ścisnął wściekle zieloną rurkę z pianki do pływania, próbując ją trochę ustabilizować, a Jimmy ukląkł na ziemi i przyłożył sobie koniec rurki do twarzy. Próbowali zrobić z niej lejek do piwa, co najlepiej wskazywało na to, jak bardzo już się spili.

– No, lej – zażądał Jimmy, a reszta chłopaków zaczęła rytmicznie tłuc w meble ogrodowe na zachętę. Wstałem z leżaka i poprowadziłem ceremonię, bo taka była moja rola w towarzystwie – przewodzenie różnym rzeczom. Stałem więc koło nich z kubkiem w ręce i wygłosiłem sarkastyczną przemowę o tym, że całe wydarzenie zostało zorganizowane na potrzeby Księgi Rekordów Guinnessa, ale tylko dlatego, że pijemy guinnessa. Tak samo jak na stu innych imprezach, jeden z setek kretyńskich numerów, które nigdy nie działały, ale przynajmniej wszyscy dobrze się bawili.

Jak łatwo było przewidzieć, rurka nie zdała egzaminu. Jimmy i Evan obwiniali się nawzajem i wymyślali coraz bardziej absurdalne wymówki, które nie miały nic wspólnego z oczywistym brakiem przemyślenia fizycznej strony całego przedsięwzięcia. Następnie rozmowa zesła na afterparty po połowinach – całą grupą zamierzaliśmy wynająć apartament w luksusowym hotelu Four Seasons – ale słuchałem tylko jednym uchem. Zaraz mieliśmy zacząć ostatnią klasę liceum. Myślałem

sobie, co to dla mnie znaczy, te wszystkie rytuały: studniówka, luau, matura. Od lat się im przyglądałem, ale nagle stały się czymś bardzo osobistym.

Zaczęło robić się chłodno. Dziewczyny dygotały w lekkich sukienkach. Kilka usiadło na kolanach swoim chłopakom z drużyny tenisa. Powyciągały telefony, jak zwykle robią to dziewczyny na imprezach. Ekran y rzucały niebieskawą poświatę na ich dłonie.

– Gdzie jest Charlotte? – zapytała któraś. Minęła dobra chwila zanim zorientowałem się, że pytanie zostało skierowane do mnie. – Halo? Ezra?

– Sorry – odparłem, przeczesując włosy palcami. – A nie jest z Jill?

– Nie. Jill ma szlaban. Kojarzysz, miała takie portfolio? Na stronie dla modelek? Jej rodzice to znaleźli i dostali szału, bo przez pomyłkę uznali, że to porno.

Kilku chłopaków natychmiast podniosło głowy na dźwięk słowa porno, a Jimmy wykonał obsceniczny gest piankową rurką.

– Jak można przez pomyłkę uznać coś za porno? – zapytałem, umiarkowanie zainteresowany kierunkiem, jaki przybrała rozmowa.

– Jak używasz samowyzwalacza, to jest porno – wyjaśniła, jakby to była powszechna wiedza.

– Okej – pożałowałem, że nie jest mądrzejsza i że jej odpowiedź nie zrobiła na mnie wrażenia.

Wszyscy się roześmiali i zaczęli sypać żartami o porno. Zorientowałem się, że faktycznie nie mam pojęcia, gdzie jest Charlotte. Sądziłem, że spotkamy się na imprezie, i że będzie robić to, co zawsze po naszej kłótni: siedzieć z Jill, przewracać oczami i okazywać mi niechęć z drugiego końca pokoju, aż

w końcu przyjdę i ją wylewnie przeproszę. Ale cały wieczór jej nie widziałem. Wyciągnąłem telefon i wysłałem jej esemesa.

Pięć minut później wciąż nie miałem odpowiedzi. Nagle do naszego stolika podszedł Heath, potężny maturzysta z drużyny rugby. Powkładał swoje kubki jeden w drugi, miał ich z sześć albo siedem. Pewnie chciał robić wrażenie, ale ja pomyślałem tylko, że to głupie marnotrawstwo.

– Faulkner – burknął.

– No?

Powiedział, żebym wstał. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim ku małej błotnistej zatoczce tuż nad jeziorem.

– Powinieneś pójść na górę – oznajmił z taką powagą, że nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby się sprzeciwić.

Dom Jonasa był spory. Na oko pięć albo sześć sypialni. Ale szczęście, jeśli mogę to tak nazwać, akurat mi sprzyjało.

Moja nagroda była już w bramce numer jeden: Charlotte, jakiś typ, którego pierwszy raz widziałem na oczy, i scena, która sfotografowana telefonem mogłaby zostać przez pomyłkę uznana za porno, choć wcale nie stałby za tym mój zamysł artystyczny.

Odkaszlnąłem. Charlotterównież, choć z jej strony to wymagało trochę wysiłku. Stałem w korytarzu, a ona patrzyła na mnie z przerażeniem. Facet zapiął dzinsy i warknął:

– Co to ma być, do cholery?

– Ezra, ja... Ja... – zapłatała się Charlotte. – Nie sądziłam, że przyjdziesz.

– Za to on już prawie doszedł – mruknąłem kwaśno.

Nikt się nie roześmiał.

– Co to za koleś? – zapytał ostro facet, patrząc na zmianę na mnie i na Charlotte. Nie był z naszej szkoły i wyglądał na starszego. Jak student, który się wbił na licealną imprezę.

– Jej chłopak – odparłem, ale zabrzmiało to niepewnie, bardziej jak pytanie.

– To ten? – upewnił się, mrużąc oczy. – Mogę mu dosunąć.

Więc gadała na mnie temu złamasowi? Gdyby do tego doszło, pewnie faktycznie by sobie ze mną poradził. Miałem wściekły zamach, ale rakieta do tenisa, a nie pięścią.

– Lepiej ją sobie dosunąć – zaproponowałem, odwróciłem się na pięcie i odszedłem wzdłuż korytarza.

Może wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby Charlotte nie pobiegła za mną wołając, że przecież mam z nią iść w niedzielę na połowinki. Może byłoby okej, gdyby nie robiła mi dalej wyrzutów pośrodku zatłoczonego salonu. Może nic by się nie stało, gdybym nie przejmował się tak samochodem i nie zaparkował go aż przy Windhawk, żeby uniknąć pijanych kierowców, którzy mogliby mi wgnieść blachę.

Może gdyby któraś z tych rzeczy się nie wydarzyła, nie wyjechałbym na zakręt Princeton Boulevard właśnie w momencie, kiedy nagle znikąd wypadł czarny SUV i popędził prosto na mnie, nie zatrzymując się przed znakiem stopu.

Nie wiem, czemu mówi się „potrącił go samochód”, jakby maszyna faktycznie podeszła i trąciła kogoś ramieniem. Mnie najpierw uderzyła poduszka powietrzna, potem kierownica, a potem chyba drzwi od strony kierowcy i ta część samochodu, o którą zwykle wali się niechący kolanem, nie wiem, jak to się nazywa.

Siła zderzenia była ogłuszająca. Wydawało mi się, że wszystko leci prosto na mnie i zgniata się wokół. Czuję smród silnika zdychającego pod maską. Trochę jak palona guma, ale z taką słoną, metaliczną nutą. Wszyscy wybiegli na trawnik Beideckerów dwa domy dalej. Przez chmurę dymu unoszącego się z silnika dostrzegłem szpaler dziewczyn w sukienkach bez

ramiączek. Wszystkie trzymały wysoko telefony i sumiennie fotografowały wrak skasowanego samochodu.

Ale ja tylko siedziałem i się śmiałem, bo przecież jestem nieśmiertelnym stuletnim wampirem.

Dobra, jaja sobie robię. Wiadomo, byłoby super, gdybym mógł się otrzepać i pojechać w swoją stronę, jak ten chytry palant, który śmignął w długą i nawet nie obejrzał się za siebie po tym, jak rozwalił moją ukochaną beemkę. Byłoby wspaniale, gdyby wszyscy imprezowicze nie rozpierzchli się w popłochu, żeby gliny nie zgarnęły całej bandy nieletnich za spożywanie alkoholu. Gdyby Charlotte albo chociaż jeden z moich domniemanych przyjaciół został na miejscu, żeby pojechać razem ze mną w karetce, kiedy leżałem nieprzytomny z bólu. Gdyby moja matka nie koncentrowała się na wyborze najlepszej biżuterii i nie przyjechała na pogotowie ze szminką na zębach.

To okropne, że pamiętam takie pierdoły, co? Małeńkie szczegóły bez znaczenia, wirujące na peryferiach potężnej katastrofy.

Nie mam ochoty opowiadać o całej reszcie – mam nadzieję, że mi wybaczycie. Wystarczy, że raz musiałem przez to przechodzić. Moja biedna fura nadawała się tylko na żyletki, jak cała reszta mojego życia. Lekarze powiedzieli, że nadgarstek się zagoi, ale z nogą nie było dobrze. Kolano miałem strzaskane na dobre.

Ale to nie jest tak naprawdę opowieść o dwunastych urodzinach Toby'ego, ani o skasowanym samochodzie na imprezie u Jonasa. W chemii organicznej jest taki problem, nazywa się retrosynteza. Dostajesz związek chemiczny, który nie występuje w przyrodzie, i musisz go rozpracować wstecz, krok po kroku, żeby dojść do tego, jak powstał – jakie warunki dopro-

wadziły do takiej kombinacji. Kiedy skończysz i zrobisz to prawidłowo, otrzymasz równanie, które będzie można normalnie przeczytać. Nie da się odróżnić pytania od odpowiedzi.

Wciąż uważam, że każde życie, nieważne jak mało wyjątkowe, ma swój jeden tragiczny punkt zwrotny, po którym dzieje się wszystko, co naprawdę ma znaczenie. Ta chwila to katalizator – pierwszy krok w równaniu. Ale poznanie pierwszego kroku nic ci nie da – dopiero to, co nadchodzi później, odpowiada za ostateczny wynik.

2

Więc jak miały się sprawy po mojej osobistej tragedii? Najpierw byłem smętnym frajerem w szpitalu, obojętnym na żywe i wesolutkie pielęgniarki z oddziału pediatrii. Potem stałem się intruzem we własnym domu. Na pewien czas zamieszkałem w pokoju gościnnym na parterze. Byłem inwalidą, ułomnym, jakby ktoś wołał. To najbardziej przerażające słowo, jakie słyszałem wobec kogoś, kto powinien właśnie wracać do zdrowia. W matematyce ułamek funkcjonuje w stosunku do liczby naturalnej, której jest częścią. Tylko częścią, niczym więcej.

Chociaż nie, cofam ten sprzeciw. To słowo rzeczywiście do mnie pasowało. Kiedyś byłem Ezrą Faulknerem, złotym chłopcem, ale tej osoby już nie było. Został ułamek dawnego Ezry. Dowód?

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, ale ostatniej nocy tamtych wakacji pojechałem do Eastwood High. Było późno,

koło jedenastej; rodzice już spali. Wypielęgnowane alejki mojego grodzonego osiedla były ciemne i przytłaczająco samotne, jak to czasami bywa nocą na przedmieściach. Pola truskawkowe wzdłuż ulicy wyglądały, jakby ciągnęły się w nieskończoność, choć tak naprawdę ze starych farm niewiele zostało – mały gaj pomarańczowy naprzeciwko chińskiego pasażu handlowego, i zielone pasy rozdzielcze między jezdniami, na których rosły stare jawory, uwięzione za barierkami.

Kiedy się nad tym zastanowić, to dość dołujące – mieszkać na grodzonym osiedlu pełnym domów „w stylu hiszpańskim”, każdy z sześcioma sypialniami, kiedy niecały kilometr dalej nielegalni imigranci pracują na czarno i całymi dniami gną się wpół na polach truskawek. A ty codziennie przejeżdżasz koło nich w drodze do szkoły.

Liceum Eastwood High znajduje się w najdalej wysuniętym na północ zakątku miasteczka Eastwood w Kalifornii, i chowa się u stóp okolicznych wzgórz jak jakaś stiukowa forteca. Zaparkowałem na miejscu dla nauczycieli, bo czemu nie? Walić to. Przynajmniej tak sobie powiedziałem. W rzeczywistości jednak to nie była oznaka buntu, lecz słabości – parking dla nauczycieli był zaraz przy kortach tenisowych.

Wokół kompleksu basenowego unosił się zapach chloru, a personel zdążył już porozstawiać plażowe parasole przy stolikach kawiarni na tarasie. Widziałem ich sylwetki, poprzeczylane zawadiacko.

Miałem własny klucz. Otworzyłem bramkę do mojego ulubionego kortu i podstawilem torbę ze sprzętem, żeby się nie zamknęły. Moja rakieta, której od miesięcy nie trzymałem w dłoniach, wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętałem. Rączkę miała owiniętą czarną taśmą, która już trochę odchodziła. Prawie czas kupić nową, oceniając po wgnieceniach ramy, ale

oczywiście wiedziałem, że nie kupię nowej. Ani teraz, ani nigdy.

Wypuściłem z dłoni laskę. Ze stukotem opadł na ziemię. Kulejąc, ruszyłem ku linii serwisowej. Mój fizjoterapeuta nie pozwalał mi jeszcze nawet wsiadać na rowerek stacjonarny. Mój inny terapeuta byłby jeszcze mniej zadowolony, ale nic mnie to nie obchodziło. Musiałem się przekonać, czy naprawdę jest tak źle, czy to prawda, co powiedzieli lekarze: że to koniec sportu. „Koniec”. Jakby ostatnie dwanaście lat mojego życia znaczyło nie więcej, niż lekcja wuefu na czwartej godzinie, i właśnie rozległ się dzwonek na długą przerwę.

Wyjąłem piłkę z kieszeni i ustawiłem się do miękkiego serwu, tego najłagodniejszego, którego czasami używałem, żeby uniknąć drugiego błędu serwisowego. Ledwo oddychając, podrzuciłem wysoko piłkę i poczułem, jak napotyka siatkę rakiety. Nie było to całkiem przyjemne, ale do zniesienia. Wylądowała zgrabnie pośrodku pola. Celowałem w prawy tylny róg, ale niech będzie.

Potrząsnąłem nadgarstkiem. Skrzywiłem się. Stabilizator ograniczał mi ruchy, ale nie byłem na tyle głupi, żeby go zdejmować. A potem podrzuciłem drugą piłkę i mocno strzeliłem, przekrzywiając raketę, żeby trochę podkręcić serw. Wylądowałem na zdrowej nodze, ale siła uderzenia poniosła mnie do przodu. Potknąłem się i niechcący przeniósłem ciężar ciała na strzaskane kolano. Ból nadszedł bez ostrzeżenia.

Kiedy zdążył już zelżeć do znajomego, tępego klucia, które nigdy całkiem mnie nie opuszczało, piłka cicho potoczyła mi się pod nogi, jakby szczyła z moich nadziei. Serw nie wyszedł; nawet nie posłałem piłki za siatkę.

Miałem dosyć. Zostawiłem piłki na korcie, schowałem rakietę do pokrowca i podniosłem laskę, zastanawiając się, po co w ogóle marnowałem czas.

Zamknąłem za sobą bramkę kortu. Na kampusie nagle zrobiło się trochę strasznie. Nad pustymi budynkami wisiały groźne cienie wzgórz. Ale oczywiście nie było się czego bać – poza pierwszym dniem szkoły i pokazaniem się wszystkim znajomym, których unikałem przez całe lato.

Eastwood High było kiedyś moim miejscem. Tym jednym, jedynym miejscem, w którym wszyscy mnie znali, gdzie czułem, że nigdy nie popełnię żadnego błędu. No i korty – grałem w reprezentacji od siódmej klasy. Kiedy szkoła należała jeszcze do mnie, na kortach znajdowałem spokój, wśród symetrycznych białych linii dzielących kwadraty w kolorze soczystej zieleni. Tenis był jak gra video, w którą zdążyłem już wygrać milion razy i dawno straciłem przyjemność ze zwycięstwa. Grą, w którą wciąż grałem, bo wszyscy tego ode mnie oczekiwali, a ja byłem dobry w spełnianiu oczekiwań. Kiedyś, bo teraz już nikt niczego ode mnie oczekiwał. Tak to już jest ze złotem, szybko zaczyna odłazić.

3

W liceum na człowieka czai się całe mnóstwo nieprzewidzianych publicznych upokorzeń, ale mi nic takiego się dotąd nie przytrafiło. Aż do 8:10 pierwszego dnia ostatniej klasy. Bo o 8:10 tego ranka nie tylko zorientowałem się, że nie mam z kim siedzieć podczas porannego wiecu sportowego, ale też że

będę musiał usiąść w pierwszym rzędzie, bo na wyższych trybunach było za mało miejsca, żebym mógł rozprostować kolano.

Pierwszy rząd zajmowali sami nauczyciele i ta jedna gotka na wózku, która twierdziła, że tak naprawdę jest czarownicą. Ale nie było takiej opcji, żebym na oczach całej szkoły wgramolił się po schodach, niezdarnie kulejąc. A wszyscy naprawdę się na mnie gapili. Czułem ich wzrok, śledzący mnie nie dlatego, że miałem rekordową przewagę w wyborach do samorządu, albo trzymałem się za ręce z Charlotte Hyde w kolejce po kawę w bufecie. To było co innego. Miałem ochotę skrzywić się, przepraszając bez słowa za ciemne wory pod oczami i brak choćby cienia letniej opalenizny. Miałem ochotę zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu.

Każdą sekcję trybun zdobił balonowy łuk i transparent z szarego papieru. Usiadłem dokładnie pod literą „R” w napisie „DO BOJU MATURZYŚCI!” i patrzyłem, jak przewodniczący samorządu uczniowskiego zbierają się w stadko pośrodku boiska do koszykówki. Wszyscy mieli na sobie plastikowe hawajskie naszyjniki i okulary przeciwsłoneczne. Jill Nakamura, nowa przewodnicząca naszej klasy, była ubrana tylko w górę od bikini i poszarpane dżinsowe szorty. A potem stadko się rozpierzchnęło i dostrzegłem Charlotte, chichoczącą z resztą cheerleaderek w minispódniczkach. Nasze oczy na chwilę się spotkały, lecz ona szybko odwróciła wzrok z zażenowaniem. Ale ten moment powiedział mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć: tragedia na imprezie Jonasa Beideckera należała do mnie i tylko do mnie.

A potem wydarzył się mały cud i na krzeselku obok usiadł Toby Ellicott.

– Słyszałeś o pszczołach? – zapytał wesoło.

– Co?

– Pszczoły. Znikają – wyjaśnił. – Naukowcy są kompletnie skołowani. Czytałem dziś rano w gazecie.

– Może to ściema? No wiesz, jak udowodnić coś takiego?

– Spis powszechny pszczół? – zasugerował. – Tak czy inaczej, zacznym inwestować w miód.

Od lat nie rozmawiałem z Tobym. Ja grałem w tenisa, a on należał do koła debat. Rzadko mieliśmy razem jakieś zajęcia. Nie zostało w nim już nic z pyzatego dzieciaka w wielkich okularach, z którym łączyła mnie nierozłączna przyjaźń aż do pierwszych tygodni szóstej klasy. Nadal miał na głowie szopę ciemnych włosów, ale przez te kilka lat zmienił się w pajakowatego dryblasza – miał prawie metr dziewięćdziesiąt. Poprawił muszkę, rozpiął marynarkę i wyciągnął nogi, jakby trafiło mu się najlepsze miejsce.

– Powinieneś sobie ogarnąć laskę ze szpadą w środku – oznajmił. – To by był hardcore. Znam właściwego człowieka, jakbyś był zainteresowany.

– Znasz typa od lasek ze szpadą?

– Nie udawaj, że tak cię szokują moje szemrane znajomości, Faulkner. Technicznie rzecz biorąc, on się zajmuje handlem antykami.

Wtedy huknęła muzyka. Najpierw rozsadzający czaszkę pisk z głośników, a następnie pierwsze takty katowanego do porzygu singla Vampire Weekend. Wszyscy z samorządu zaczęli kłaskać jak frajerzy, żeby rozkręcić imprezę, a Jill wydarła się do mikrofonu, żeby wszyscy wiedzieli, jaka jest nakręcona na najlepszy rok szkolny w historii świata.

Nagle i zupełnie bez powodu samorząd zaczął tańczyć coś w rodzaju hula, wciąż w okularach przeciwsłonecznych i z gir-

landami sztucznych kwiatów wokół szyi. Nie mogłem uwierzyć, że przed moimi oczami rozgrywa się coś tak absurdalnie nie na miejscu, taniec hula do dźwięków afrykańskich bębnów rockowego zespołu, założonego przez chłopców z drogiego college' u na Wschodnim Wybrzeżu.

– Błagam, powiedz, że mam haluny – wymamrotał Toby.

– MATURZYŚCI, JAK SIĘ CZUJECIE?! – wrzasnęła Jill.

Reakcja była ogłuszająca.

– NIE SŁYSZĘ! – krzyknęła znowu Jill, wysuwając biodro w bok.

– Zabij mnie – jęknął Toby.

– Chętnie, ale gdzieś zapodziałem laskę ze szpadą.

Siedząca koło Toby'ego pani Levine posłała nam wściekle spojrzenie.

– Panowie, proszę się zachowywać albo się pożegnamy – warknęła.

Toby prychnął.

Kiedy piosenka w końcu dobiegła końca, Jimmy Fuller przejął mikrofon. Miał na sobie bluzę do tenisa. Nie mogłem nie zauważyć, że zespół dostał nowe dresy.

– Jak tam, Eastwood? – huknął. – Czas przywitać naszą reprezentację!

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi sali gimnastycznej i na boisko wpadł zespół rugby w ochraniaczach i sportowych koszulkach. Za nimi zespół koszykówki, tenisa i piłki wodnej, ale wtedy już nie zwracałem uwagi na kolejne zespoły i ich prezen-tacje. Moje dawne życie, całe moje życie, stało pośrodku boiska do koszykówki, a ja siedziałem na ławce dla nauczycieli, i prędzej odgryzłbym sobie ręce niż zaczął bić brawo. Najbardziej

na świecie chciałem po prostu wyjść i znaleźć się najdalej od tego wszystkiego.

– Ej, Ezra – zagadnął Toby teatralnym szeptem. – Stary, masz plaster nikotynowy?

– Proszę wyjść! – rozkazała pani Levine. – Obaj, natychmiast! Toby i ja popatrzyliśmy po sobie, wzruszyliśmy ramionami i złapaliśmy plecaki.

Na zewnątrz było jasno. Bezchmurne niebo było wręcz niemożliwie błękitne. Zmrużyłem oczy i schowałem się w cieniu stiukowego daszku, szukając w plecaku okularów przeciwsłonecznych.

– Plaster nikotynowy? Serio?

– No co? Wyciągnąłem nas stamtąd, nie? – Toby nawet nie krył zadowolenia z siebie.

– Fakt. Dzięki.

– Za co? Nie miałem ochoty tam siedzieć. Pani Levine śmierdzi z gęby.

W końcu wylądowaliśmy w Aneksie, sali do nauki łączącej klasę dziennikarską i salę debat. Cała szkoła była na wiecu. W regularnych interwałach dochodziły do nas stłumione wrzaski z sali gimnastycznej.

– Brzmi jak Disneyland – Toby uśmiechnął się szeroko.

Zaskoczyło mnie, że o tym mówi.

– Byłeś tam jeszcze kiedyś? – zapytałem.

– Żartujesz? Codziennie tam chodzę, dali mi darmowy bilet na całe życie. Jestem prawie jak szwagier Kaczora Donalda.

– Czyli nie.

– A ty?

Potrząsnąłem głową.

– Mógłbyś dostać wjazd dla niepełnosprawnych – Toby nie odpuszczał. – Wszędzie być wskakiwał na początek kolejki.

– Zachowam to na następny podryw. Dziewczyny będą zachwycone.

Nie wiedzieć czemu, nie przeszkadzało mi, że Toby robi sobie jaja z mojej laski. A byłem na tym punkcie dość wrażliwy. Każdy by był, gdyby musiał spędzić całe wakacje opędzając się od matki, która chciała dobrze, ale była przy tym nie do zniesienia. Sterczała pod łazienką zawsze, kiedy brałem prysznic – przerażała ją myśl, że się poślizgnę i zabiję, bo nie pozwoliłem jej zamontować takich metalowych rączek, których mógłbym się złapać. A mnie przerażała myśl, że wejdzie i przyłapie mnie na, hm, braniu prysznicza.

– To do jakiego zespołu się przyłączasz w tym roku? – zagaił Toby. Aż do matury każdy musiał do jakiegoś należeć, a tenis już nie wchodził w grę.

– Debaty – przyznałem. Nagle uświadomiłem sobie, że pewnie będziemy w jednej grupie.

– Stary, super! W tym roku jestem kapitanem, powinieneś iść do reprezentacji.

– Będę tam tylko dlatego, że do jakiegoś muszę dołączyć. Nie-specjalnie mnie interesuje debatowanie.

Wtedy wydawało mi się, że zespół debat to banda chłopaków, którzy w weekendy przebierają się w garnitury i naprawdę wierzą, że mają coś do powiedzenia na temat polityki zagranicznej, bo przecież chodzą na rozszerzoną wiedzę o społeczeństwie.

– Może i nie, ale jesteś mi coś winien. Wyciągnąłem nas z wiecu – zaprotestował mój przyjaciel.

– Jesteśmy kwita. W siódmej klasie powiedziałem Tugowi Masonowi w szatni, że ma ci nie sikać do plecaka.

– Wcale nie jesteśmy kwita. Zamiast tego naszczał mi do gatorade.

– A, zapomniałem.

Rozległ się dzwonek.

- Ej, Faulkner, chcesz usłyszeć coś naprawdę dołującego?
- zapytał Toby, zarzucając plecak na ramię.
- No?
- Pierwsza lekcja jeszcze się nawet nie zaczęła.